

Szukając polskich śladów...

Część I

Moja wycieczka na Kresy zaczęła się wiele lat temu, w zasadzie już wtedy gdy byłam dzieckiem. Urodziłam się w pierwszą rocznicę „zwycięstwa nad faszyzmem” w małym, górskim miasteczku przy samej granicy. Do niedawna nie było tam żadnej granicy. Piękna, cicha miejscowość uzdrowska na ziemiach odzyskanych.

Od pierwszych dni życia towarzyszyła mi ta miękka, śpiewna mowa i ludzie ze Wschodu.

Wspomnieć należy, że moje urodziny obchodziliśmy zawsze hucznie. Rodzice zapraszali w tym dniu przyjaciół i znajomych. Świętowaliśmy z całym miasteczkiem, często do rana. Wreszcie był upragniony pokój po latach niedoli.

Nie zdawałam sobie wówczas sprawy, że nie wszyscy przybyli z Kresów Wschodnich byli szczęśliwi.

W czasie pierwszych „szkolnych urodzin” dowiedziałam się ciekawych rzeczy. Jedna z koleżanek z klasy urodziła się dzień wcześniej i świętowała ósmego maja. Ona mnie uświadomiła, że to jej data jest prawdziwą rocznicą zwycięstwa. Byłam zaskoczona, ale mogłam ten fakt długo bagatelizować, bo podręcznikowa historia potwierdzała moją wiedzę, a koleżanka nie potrafiła swojej uzasadnić. Dopiero jednak wiadomość, że nasi przyjaciele to imigranci spowodowała, że zapytałam skąd przybyli? Informacja była krótka i bardzo oszczędna „ze wschodu, zza Bugu”. Nie mogłam zrozumieć jak można być imigrantem we własnym kraju? Być w Polsce, mówić po polsku i nie być stąd? Dlaczego oni wszyscy znaleźli się nagle w ZSRR? Dlaczego teraz wrócili? Dlaczego jako miejsce urodzenia mają wpisany Związek Radziecki? Pytań było wiele i długo pozostawały bez odpowiedzi.

W szkole wydawało mi się, że znam historię. Jednak szkoła nie uczyła, historia milczała, a rodzice bali się mówić.

Poznałam wielu wspaniałych ludzi, którzy się tam urodzili, albo żyli tam ich rodzice. Często rozmawialiśmy długo. Oni opowiada-

li swoje losy. Zawsze jednak mówili o tej ziemi z miłością i wielką tęsknotą.

Tak mijały lata.

Od kiedy poznałam prawdę, zawsze chciałam pojechać na Kresy. Szukać polskich śladów. Żadne tam obce kraje: Tunezja, Egipt, czy Capri... Tylko Kresy nie dawały mi spokoju od dawna. Były moją pasją.

Dopiero teraz udaje mi się tę pasję realizować. Pasję, która od wielu lat pozostaje niezmienna. Może nawet z upływem czasu przybiera na sile. Chcę sama sprawdzić, co takiego jest w tej ziemi, w tych zakątkach. Może przez lata skrywane tajemnice spowodowały nieprzepartą chęć poznania tego, o czym pisali poeci Słowacki, Mickiewicz? Nie wiem.

Tym razem wybrałam się na Ukrainę. Pojechałam razem z rodzinami osadników wojskowych i cywilnych Kresów Wschodnich.

Granicę przekraczamy w Dorohusku, a po drugiej stronie Jagodne i już Ukraina. Jedziemy przez Kowel, zbaczamy na chwilę do Łucka. Na rynku pomnik Tarasa Szewczenki. Miasteczko stare i zniszczone. Gospodarze widać nie dbają zbyt wiele o wcześniejszą zabudowę. Dalej Równie. Podobnie zaniedbane. Długo jedziemy. Drogi pełne dziur, z popękana zniszczoną nawierzchnią. Obok nas rozklekotane, brudne, przerdzewiałe ciężarówki. Mijają nas motocykle z przyczepkami, będące krzyżówką eksponatów muzealnych i twórczości własnej. Warunki powodują, że jedziemy wolno i bardzo ostrożnie.

Jedno co wzrusza nieustannie, to czerwone drobne maki, które pokrywają całe kilometry łąk, pastwisk i nieużytków. Czasem mignie gdzieś grupka chabrów. Łąki podmokłe, bujna na nich trawa i wszędzie te maki. Często aż czerwono. Po łąkach brodzą bociany, pojedyncze albo w grupie. Dorosłe i młode. Pewnie już szykują się do wielkiej wyprawy. Młode rosną, stają się silne i samodzielne. Nieliczne siedziby ludzkie nie wyróżniają się niczym szczególnym, jest ich zresztą niewiele. Obok gospodarstw ludzie zakładają warzywniki. Teraz po likwidacji kołchozów trudno się przestawić znów na gospodarkę indywidualną. Brak maszyn rolniczych. Ludzie radzą sobie ręcznymi narzędziami. Kilkakrotnie widziałam w ich rękach kosy.

Po polnych drogach jeżdżą z rzadka furmanki zaprzężone w konie. Gdzieniedzie widać pasące się kozy. Czasem małe stadko. Dużo ja-
koś tych kóz. Ale ziemia jest tu żyzna, warzywa dorodne i pięknie
soczyście zielone. W wielu miejscach na słupach i dachach górują
nad zabudowaniami gniazda bocianie. Tylu gniazd nie widziałam do-
tychczas nigdzie. Siedzą w nich bocianie pary z młodymi. Stąd bo-
ciany odlatują trochę później niż od nas. Pewnie jest cieplej, ale i tak
trzeba się do tej drogi dobrze przygotować.

Pierwszy nocleg dopiero w Krzemieńcu. Miejsce urodzenia Ju-
liusza Słowackiego, mojego ulubionego poety. Miasteczko cudnie
położone. Rozsypane w głębokiej dolinie. Okalają je białe wzgórza.
Nad miastem górują zalesione zbocza góry królowej Bony. Widać na
niej ruiny potężnej niegdyś twierdzy.

Odwiedzamy dworek Słowackich. Zadbane, dzięki staraniom
Polonii i darom z Polski. Wzgórza okalające miasto są białe, bo ich
głównym składnikiem jest krzemień. Można go tu pozbierać na pa-
miątkę albo kupić na straganach w różnych ciekawych kształtach.

Część II

Podziwiając przyrodę Wołynia jedziemy do maleńkiego mia-
steczka o nazwie Poczajów. Na wzgórzu króluje słynne sanktuarium
maryjne – Ławra Poczajowska. Kobiety nakrywają głowy chustkami
i wkładają długie spódnice. Nie wolno im wejść z gołymi głowami
i w spodniach. Wchodzimy. Świątynia wypełniona jest mnóstwem
wiernych. Cały czas napływają nowi pielgrzymi, z różnych stron.
Z wysokości głównego ołtarza patrzy na nas z góry Matka Boska Po-
czajowska. Ikona słynie z niezwykłych mocy – uzdrawiających. Cu-
downy obraz podarowała świątyni Anna Hojska, sędzina łucka, zie-
mianka z Orli. Klasztor składa się z 16 cerkwi, kaplic, wieży,
dzwonnicy. Fundatorem soboru był Mikołaj Potocki. Całość tworzy
świetny zespół architektoniczny. Wnętrza ozdabiają przepiękne ob-
razy, ikony, ozdobne żyrandole i rzeźby. Na jednej ze ścian można
podziwiać obraz przedstawiający ukrzyżowanie Jezusa. Dla widza
stojącego po stronie prawej obrazu, postać leży na krzyżu. Gdy po-
woli przesuwamy się na stronę lewą, postać Jezusa ma ugięte nogi
w kolanach i przybiera pozycję prawie siedzącą. Tłum pielgrzymów

jest tak duży, że musimy zrezygnować z wejścia do pieczary wielebnego Jowa. Nie podejmiemy także do relikwii cudotwórcy Amfilochija kanonizowanego – 2002 r. Długie kolejki wiernych powodują konieczność skrócenia czasu oglądania. Na schodach świątyni kilkadziesiąt żebraków. Słysząc różne języki, także polski i prośby o polskie pieniądze.

Kolejno zwiedzamy położony na wysokim wzgórzu Zamek Oleski. W XIV w. była to potężna staroruska twierdza. W XVII w. przebudowano ją na rezydencję magnacką. Miejsce urodzenia Jana Sobieskiego – przyszłego króla Polski. Sobieski lubił to miejsce i w późniejszych latach, często tu przebywał. Zgromadził liczne dzieła sztuki.

Niedaleko Oleska położony jest zamek w Podhorcach – wspaniałe zabytki architektury renesansu. Został zbudowany na zamówienie hetmana koronnego Stanisława Koniecpolskiego, przez włoskiego architekta. Późniejszym właścicielem zamku był król Jan III Sobieski. Na początku lat trzydziestych zakończono renowację. Od tego momentu zamek w Podhorcach stał się jednym z najpopularniejszych muzeów w Polsce. Po II wojnie światowej zamek został zamieniony na szpital, a dzieła sztuki przekazano do różnych muzeów we Lwowie. Zamek zaczął popadać w ruinę. Obecnie jest w bardzo smutnym stanie. Oglądaliśmy go jedynie z zewnątrz. Podobno przechodzi gruntowną renowację.

W Wiśniowcu zwiedzamy pałac Wiśniowieckich, który jest w renowacji. Młody człowiek, przewodnik, mówi ładnym językiem polskim. Oprowadzał nas po pałacu obiecując, że jak tylko zostanie założone ogrzewanie, to będziemy mogli już oglądać prawdziwe obrazy. Na razie Galeria Lwowska nie może umieścić tu oryginałów dzieł, bo klimat w pomieszczeniach nie jest właściwy. Podziwiamy więc kopie i piękny dziedziniec zamkowy. Prace ratujące ten obiekt trwają już trzy lata i są coraz bardziej zaawansowane. Były tu zgromadzone wielkie ilości dzieł sztuki, wspaniała biblioteka. Ostatni z rodu, Michał Korybut Wiśniowiecki, nie doczekawszy się męskiego potomka wyraził chęć, aby zamek w przyszłości promieniował kulturą na całą okolicę. Po jego śmierci stłuczono tablicę herbową.

Kolejno – twierdza w Zbarażu, potem Tarnopol, którego nazwa pochodzi od dużej ilości tarniny, rosnącej w okolicy. Mijamy zamek Koriatowiczów. W dole płynie rzeka Zbrucz. Widzimy kamieniołom na Zbruczu i most graniczny – dawnej, przedwojennej Rzeczypospolitej. Dalej twierdza w Kamieńcu Podolskim. Legendarna, największa warownia Europy Wschodniej. Opiewana przez Henryka Sienkiewicza. Wchodzimy na dziedziniec. Zaraz po prawej stronie znajduje się wejście do studni. To jeden z najważniejszych punktów. Twierdza nie może istnieć bez dostępu do wody. Bardzo głęboka studnia ma brzegi zasypane groszami. My też wrzucamy – chcemy tu jeszcze wrócić!

W głębokim wąwozie u stóp twierdzy płynie rzeka o nazwie Smotrycz. Jar ma kilkanaście metrów głębokości. Ściany, prawie pionowe, pokrywa częściowo gęsta roślinność, miejscami jest to goła skała. Ciekawe, jak na tych pochyłościach utrzymują się jedzące tu śniadanie kozy. Ponad brzegami rzeki wznoszą się ściany i wieże starożytnego miasta. Widok jest niesłychanie malowniczy.

W XIV w. książę litewski Witold zajął Podole i część tego kraju razem z Kamieńcem przekazał królowi Polski Jagielle. W XV w. Kamieniec stał się stolicą województwa podolskiego. Było tu centrum polityczno-handlowo-kulturalne Podola. Niestety w latach trzydziestych komuniści zburzyli wiele zabytków sakralnych, a tysiące Polaków wywieźli na Syberię i do Kazachstanu. W 1936 r. zamknięto kościoły, a Klasztor Dominikanek zamieniono na więzienie NKWD.

Na zwiedzanie Kamieńca Podolskiego idziemy całą grupą, pieszo. Z daleka wita nas wysoki (4,5 m) złoty posąg Marii Panny. Idziemy wąskimi uliczkami na Polski Rynek i dalej do katedry św. Apostołów Piotra i Pawła. Kościół w czasie nawały tureckiej zamieniono na meczet muzułmański i przed głównym wejściem zbudowano minaret. Po przywróceniu Podola Polsce, biskup Mikołaj Dębowski przeprowadził remont generalny świątyni i sprowadził z Gdańska posąg. Polecił ustawić go na minarecie w półksiężycu tureckim. Posąg jest z brązu cały „złożony”, widoczny z wielkich odległości. Może dlatego, niepokoił władzę radziecką tak bardzo, że w r. 1945 zlikwidowała kościół który przez całą wojnę służył wiernym i urządziła

w budynku muzeum ateizmu. W roku 1990 władze miejskie przekazały świątynię wspólnocie rzymsko-katolickiej, a papież Jan Paweł II w 1991 r. mianował biskupa kamienieckiego. Tym aktem odrodził diecezję.

Na cmentarzyku katedralnym, na wysokiej kolumnie wznosi się figura Pana Jezusa „frasobliwego”. Stoi tam też pomnik pułkownika Jerzego Wołodajewskiego z napisem „Życie to szereg poświęceń”. Podobno stale leżą pod nim świeże kwiaty. Czyżby nadal pierwsza szabla Rzeczypospolitej miała tu swoich wielbicieli?

Zwiedzamy dawny kościół Dominikanów. Z boku głównego wejścia, unosi się zapach rosółu, zaglądam do jednego z pomieszczeń służących za jadalnię. Pracowita zakonnica przygotowuje „domowy” makaron. Wyjaśnia nam, że dzisiaj kościół stał się przystanią dla polskich pielgrzymek. Można tu przenocować i dobrze zjeść przed trudami zwiedzania. Dodała, że zjeść można także po zwiedzaniu, ale wszystko to musi być wcześniej zamówione.

Idziemy na rynek „rusinów” – Ukraińców, stoi tam cerkiew św. Apostołów Piotra i Pawła, która zachowała się do dziś. Na Rynku dzielnicy ormiańskiej znajdują się ruiny katedry z dobrze zachowaną dzwonnica i ormiański dom targowy. Idziemy obejrzeć co ocalało z kaplicy Ormian polskich.

Wracamy na Rynek Polski. Siadamy na chwilę, aby spokojnie podziwiać ormiańskie kamienne domy i piękny stary Polski Ratusz. Jest tu cichutko, nikt nie zakłóca ciszy sennego starożytnego miasteczka. Letnie popołudnie. Świeci słońce, jest pięknie i ciepło. Zupełnie inny świat. W podcieniach kamienic, przy rynku, znajdują się restauracje i bary. Korzystając z chwili przerwy idziemy zjeść pyszne małe pierożki z mięsem, polane smażoną cebulką. Pierożki popijamy zimną wodą. Rozkoszujemy się ładną pogodą i mocną, aromatyczną czarną kawą. Posileni, powoli zaczynamy wracać. Idziemy tym razem z góry, od strony miasteczka w kierunku twierdzy. Widoki są wspaniałe, aż dech zapiera. Od bramy Polskiej droga prowadzi stromo do góry, do baszty Stefana Batorego. Była ona rekonstruowana w XVI w. Dobudowano wówczas bramę Wietrzną. Nad tą bramą umieszczona jest tablica z łacińskim napisem „W 1585 r. zbudowane przez Stefana Batorego KP (króla Polski),

przez Stanisława Augusta Króla Polski – odnowione i dobudowane”. Baszta Batorego wraz z bramami, ścianami i bastionem jest częścią murów obronnych tzw. Polskiej Bramy.

Jednak sercem miasta pozostaje Katedra i Stara Twierdza. Wszyscy kierują swe kroki ku nim. W końcu, w całym okresie historii Kamieniec miał bardzo licznych wrogów, będąc przedmurzem chrześcijaństwa.

Część III

Oglądamy twierdzę w Chocimiu. Wojska polskie, pod dowództwem Jana Sobieskiego, otoczyły główne siły tureckie w twierdzy chocimskiej. Wzięły ją szturmem już w drugim dniu oblężenia. Nie udało się jednak odbić Kamieńca.

Następnie jedziemy do Kołomyi. Tam zwiedzamy muzeum etnograficzne: Huculszczyny i Pokucia. Doprawdy huculskie hafty, zarówno na koszulach, bluzkach i kożuszkach są prawdziwymi dziełami sztuki. Na kilku misternie rzeźbionych meblach, będących eksponatami muzeum, wyrzeźbiono napisy w języku polskim upamiętniające ważne historyczne wydarzenia i formacje wojskowe. W muzealnym sklepiku kupuję kamyczek, pokryty huculskimi wzorkami. To pamiątka, dla koleżanki, której krewni przepadli na tych terenach.

Niedaleko znajduje się unikalne w skali światowej – muzeum pisanek, ale niestety brak czasu nie pozwolił nam go odwiedzić.

Mijamy Stanisławów (obecnie Iwano-Frankowsk), kolejno wieś Worochta. Miasta są zaniedbane, widać zniszczenia, które zdziałał czas. Ludzie też niewiele zrobili, aby było lepiej. Wsie wyraźnie biedne. Przy rowach, na miedzach znów kozy: białe, w czarne łaty, a czasem nawet rude.

Szczególny jednak folklor stanowi płatanina na żółto malowanych rurkach różnego przekroju i długości. Płatanina ta, mało ozdobna, wije się na różnych wysokościach od domostwa do domostwa. Są to rurociągi gazowe, którymi doprowadzany jest na Ukrainie gaz do gospodarstw wiejskich i małomiasteczkowych.

Dalej jedziemy w Karpaty Wschodnie, które zaczynają się w Polsce, a kończą w Rumunii. Nocujemy w Jaremczy – miejscowość uzdrowiskowa, powstała w XVIII w. Oglądamy wiadukt kole-

jowy umieszczony 30 m nad doliną Prutu. Robi wrażenie. Schodzimy w dół, mijamy bazar, na którym niewiele jest prawdziwych huculskich pamiątek. Króluje tandeta rodem z bazarów Zakopanego, chińszczyzna i towar ze sklepów – wszystko po 2 i 5 zł.

Idziemy zobaczyć wodospady na Prucie. Wita nas ogłuszający wprost hałas. W zasadzie huk spadających tysięcy ton wody. Rzeczywiście wrażenie jest duże. Wprost czuje się ogromną masę i siłę spadających wód. Wodospady są wspaniałe, aż trudno uwierzyć, że tak huczą od stuleci. Dookoła gęste lasy. Zaczyna mżyć. Jedziemy wzdłuż doliny Prutu. Widoki urzekające. Rzeka wiję się cudnie, leniwie przez całą dolinę. W jednych miejscach tworzy piękne meandry, w innych rozlewa się szeroko i płyciutko. Na jej obu brzegach wspaniałe ściany Karpat. Jedne stoki są gęsto zalesione i jakby miękkie, inne skaliste, ostre, dzikie, spadające wprost do rozlanej w tym miejscu i wypoczywającej wody. Jest w tym wszystkim jakaś pierwotna moc. Widoki, pomimo lejącego już deszczu – fantastyczne. Przypominają nieco Tatry, ale w dużym powiększeniu. Wydaje się, że jest tu więcej powietrza i przestrzeni. Góry są takie potężne, a lasy ciepłutkie jak pierzynka.

Czas minął zbyt szybko. Góry pożegnały nas ulewą. Zmokłam do suchej nitki. Jesteśmy w drodze do Lwowa. Mamy tylko 1,5 dnia, żeby się wszystkim nacieszyć. Trzeba wchłonąć jak najwięcej, tym bardziej, że nigdy tu nie byłam i nie wiem czy jeszcze będę?

Część IV – Lwów

Hotel znajduje się w tak zwanym „nowym Lwowie”. Miasto jak u nas z przełomu lat 50. i 60. Wchodzę do łazienki i dobrze, że udało mi się wyjść. Drzwi ze sklejki drewnianej zatrzasnęły się. Wzywamy ochroniarza na ratunek. Przychodzi z mądrą miną, zbadać sprawę. Ma jedną radę – wymienić pokój. Zatem bierzemy bagaże do innego pokoju. Wchodzimy i nie zamykamy łazienki!! Kolejny pokój ma zepsute okno. Jesteśmy na piątym piętrze więc nie stanowi to żadnego problemu. W poprzednim pokoju okno nie otwierało się. Także niemiłosiernie skrzypiało łóżko. Następnej nocy materac wyładował na podłodze. Przecież to tylko jedna noc. Stwierdzam, że tak naprawdę nic dotychczas nie jest w stanie zepsuć mi tej wyprawy.

Jakieś tam okna, zamki, materac, deszcz czy nawet posolona woda w dzbanku, którą przyniósł nam kelner na stół do zaparzenia herbaty. Nic to wszystko, wobec faktu, że wreszcie tu jestem. Drobiazgi wyraźnie poprawiają mi nastrój, są wprost niezbędne. Dzięki nim, wiem, że to wszystko dzieje się tu i teraz. Jakby tak cały czas było super, to o czym miałabym pamiętać?

Lwów – miasto moich wielu rozmyślań. Tu wychował się kolega z pracy. Jego ojciec opiekował się biblioteką Ossolińskich, więc mieszkali w jej budynku. On z ojcem wrócił do Warszawy, a matka z siostrą już tu zostały – do końca i na zawsze. Nie mogły sobie wyobrazić życia gdzie indziej.

Miasto wita nas piękną pogodą. Jest słonecznie więc jedziemy od razu na cmentarz Łyczakowski. Kupujemy znicze i wiązanki kwiatów. Wchodzimy na tę starą polską nekropolię. Mijamy grobowce wielkich Polaków. Marii Konopnickiej – na której wierszach wychowałam się. Gabrieli Zapolskiej, której książki były jedną z głównych lektur szkolnych. Władysława Bełzy, którego „Katechizm polskiego dziecka” jest stale aktualny. J. K. Ordoña – powstańca listopadowego, bohatera mickiewiczowskiej „Reduty Ordoña”. Stefana Banacha – światowej sławy matematyka. Artura Grottera – jednego z czołowych malarzy romantyzmu, który walczył jako oficer w powstaniu listopadowym. Ludwika Rydygiera – profesora medycyny, generała brygady Wojska Polskiego, którego pochowano na cmentarzu obrońców Lwowa i wielu, wielu innych. Wchodzimy do kwatery, powstańców listopadowych. Mogiły są zaniedbane, porośnięte zielskiem. Zapalamy znicze. Krzyże przewiązane wstążeczkami w barwach narodowych, biało-czerwonych.

Dalej jest cmentarz obrońców Lwowa. Zapalamy znicze. Przewodnik opowiada o kolejach losów tej nekropolii. Udziela się nam smętny nastrój. Najmłodszy obrońca – „Orlęta” – mieli ledwie 13 lat. Zginął kwiat naszej młodzieży, uczniowie ostatnich klas szkół średnich, harcerze, studenci i ich wykładowcy. Zaocznie skazani na śmierć, przez zapomnienie... Kupujemy cegielki Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi. Trzeba pamiętać.

Wracamy do hotelu, na dziś już koniec zwiedzania. Czas wypocząć.

Sobota – ostatni dzień pielgrzymowania. Do Starego Miasta jedziemy rozklekotanym, zakurzonym tramwajem. Bilety dziurkujemy powyginanym, blaszanym kasownikiem, rodem z lat 60. Centrum miasta nawet o tej porze tętni życiem. Wszędzie pełno młodzieży, wszak mamy wakacje. Dookoła polskie wycieczki, słychać tylko język polski. Przed budynkiem Opery uwijają się przewodnicy, usiłujący dopilnować grupy. Równie aktywni, są handlarze pamiątkami. Posługują się wózekkami na kółkach, z wysoką ścianką służącą do ekspozycji towarów. Naturalnie wołają i mówią czystą polszczyzną. Kupić można kartki, foldery, mapki, przewodniki, albumiki ze zdjęciami. Są też płyty: z filmami o Kresach, ze zdjęciami obiektów i starymi lwowskimi piosenkami. Tutaj można płacić złotówkami. Chyba nawet należy tak robić, bo gdy wyciągnęłam ukraińską walutę, to sprzedawca powiedział wprost: „boli mnie serce gdy to widzę, a reszty wydaję też w złotóweczkach”.

Zwiedzamy Teatr Opery i Baletu. Budynek zaprojektował prof. Z. Gorgolewski. Fasada główna jest bardzo piękna. Przyciąga uwagę bogactwem rzeźb. Są tu postacie alegoryczne Komedia i Tragedia, oraz figury: Dramatu, Sławy i Muzyki. Wewnątrz zwraca uwagę wstębul z jego paradnymi schodami. Podłogi wyłożone stuletnimi, jasnymi kaflami w misterne granatowe wzorki. Wszystkie pomieszczenia bogato zdobione kolorowymi marmurami, kryształowymi lustrami, malarstwem i płaskorzeźbami. W sali widowiskowej znajduje się kurtyna „Parnas”. Namalował ją wybitny polski artysta Henryk Siemiradzki. Kiedy Lwów dowiedział się że artysta maluje kurtynę dla teatru w Krakowie, zamówił też dla siebie „tyle, że większą”.

Oglądamy Kaplicę Boimów – powstała jako grobowiec rodzinny, jej fundatorem był bogaty kupiec J. Boim. Ozdobiona jest mnóstwem rzeźb i płaskorzeźb, zarówno wewnątrz jak i na elewacji. Obecnie jest filią Lwowskiej Galerii Obrazów. Wychodzimy z kaplicy, są chmury i siąpi deszczyk. Pogoda nas nie rozpieszcza. Opodal kościół Ormian polskich, a w nim piękne malowidła. Witający nas ksiądz rozdaje modlitewniki w języku polskim.

Jeszcze parę wolnych chwil. Można wypić kawę.

Na parkingu kilkanaście autokarów, wszystkie z Polski. Szukamy naszego. Ktoś tam się zawieruszył. Kogoś szukamy. Czekamy

parę minut. Deszcz już nie ma żadnych zahamowań i leje jak z cebra. W końcu odjeżdżamy, a Lwów żegna nas strugami deszczu. Może jak przyjedziemy następnym razem, nie rozplącze się tak żałośnie? Chcąc jednak poznać odpowiedź na to pytanie trzeba przyjechać tu jeszcze przynajmniej raz...